

Adam St. Trąbiński

Pochód na 1 Maja

Przegląd Pruszkowski nr spec., 121-124

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

POCHÓD NA 1 MAJA

Nie było to kochane przez młodzież święto, oj nie! Obowiązkowe. W klasie VIII i IX jakoś udało się wytłumaczyć wezwanej matce (tak, tak – wzywano rodziców!) prof. Gierwatowskiemu, że synek był chory lub była potworna pogoda (dojeżdżałem rowerem kilka kilometrów). Siedziałem w domu, coś tam czytałem, majsterkowałem przy radiu (sam konstruowałem odbiorniki) lub odrabiałem zaległości. Święta nie znośiłem – wszystkie gazety na czerwono, zmieniony program w radio, itd. Kręciłem gałeczką, bo oprócz pochodów w Moskwie, Pekinie czy w Tiranie istniał też inny świat. W klasie maturalnej – im bliżej egzaminów – byliśmy coraz bardziej spokojni i obowiązkowi; jasne – byle „dojechać” do tej matury... Nasza wychowawczyni prof. Irena Marynowska mogła spać spokojnie, rankiem tego dnia odpowiednio „wystrojeni” stawiliśmy się niemal w komplecie w szkole po flagi, szturmówki i transparenty. Pomaszerowaliśmy przez miasto na stadion Znicza, bo tam było miejsce zbiórki i wymarszu. Byliśmy jako znaczna grupa chłopców już wymusztrowani, dziewczyny, które szły osobno – także. Wszak szkoła od kilku dni nic nie robiła tylko maszerowała po sąsiednich ulicach, ciągle się ustawiała, itp. Straty w opuszczonych lekcjach były ogromne. Dodać należy jeszcze akademię „ku czci” i taka się odbyła w sali kina Kolejarski (koło stawu Potulickich, od dawna nieistniejącej). Trudno mi już powiedzieć, czy w akademii uczestniczył tylko Zan, czy była ona zorganizowana dla kilku szkół. Kiedy się tam zjawiłem (należało się na takiej imprezie pokazać) 600-osobowa sala była nabita, w pierwszym rzędzie szacowne grono nauczycielskie zasłuchane w referat naszej klasowej liderki Eli Jaros. Drobną Ela z emfazą czytała długą tekst, gdzie co chwila padało słowo: socjalizm. W różnych przypadkach. Możecie pomyśleć: zarozumialec – ale już wtedy wiedziałem: „socjalizm jest chorobą psychiczną społeczeństw Zachodu” (Bob Denard). Ale wróćmy do pochodu. Była to olbrzymia impreza powiatowa, ilość pocztów sztandaro-



Na trybunie (od lewej): autor, Ela Jaros, Zbyszek Sierosławski, Ewa Szczypior i Krzysiek Kopczyński.



Ci sami na ławce pod Pałacykiem.

wych i delegacji z zakładów pracy przekraczała zdrowy rozsądek. Jasne – towarzysze partyjni musieli się odpowiednio wykazać. Był to rok 1965 i z roku na rok pierwszomajowy wąż był coraz dłuższy. Kilkugodzinne stanie i posuwanie co krok, co zakład, powodowało zniecierpliwienie, ba – znużenie. Dopiero po południu szkoła nasza zbliżyła się do „trybuny honorowej”, czyli zbitego z desek podwyższenia na wysokości LO Kościuszki, gdzie stali nasi władcy, także dyrektorzy szkół – w tym nasz Jan Gilewicz.

Wtedy wpadliśmy (a może to byłem ja?) na protestacyjny pomysł: dochodzimy do trybuny pochylamy do ziemi nasze flagi, odwracamy głowy i szybko do przodu. Udało się namówić kilkunastu – kilkadziesięciu kolegów. Rozwiązanie pochodu następowało koło księgarni – biegniemy do szkoły, rzucamy w wejściu flagi i umawiamy się za pół godziny w Parku Sokoła. Potem siedzimy na trawie pod



Od prawej: Ewa Sobczak, Maria Warunek, Jola Helman, kol. Wąsik, NN.
(Foto: Zbigniew Sierosławski. Fotografie pochodzą z albumu-zbiornu Marii Warunek-Stachurskiej. Dziękujemy!)

Pałacykiem grupą klasową: Krzysiek Kopczyński, Janusz Janik, Krzysiek Żolik, Zbyszek Sierosławski, Jolka Helman, Ela Jaros, Ewa Sobczak, Ewa Szczypior, Mania Warunek i rozmawiamy – bardzo poważnie: co dalej po maturze? Cisza, spokój – luz i blues. Zbyszek robi zdjęcia, idziemy na spacer po mieście. Te zdjęcia zrobione wtedy to najcenniejsza pamiątka – nie z pochodu, lecz ot tak sobie.

FAJ-CLUB

To była nieformalna instytucja, pełną gębą. Następne pokolenia lub wcześniejsze zapewne takową posiadały. Faj-clubem nazywaliśmy męską ubikację na parterze, gdzie obowiązywały twarde i proste zasady. W czasie przerw (głównie tej 20-minutowej po 3 lekcji) lub pomiędzy lekcjami była to palarnia papierosów – okno szeroko otwarte (kiedyś podczas pracy klubu zapędziłem się pod zakratowane okno – dym walił jak z parowozu). Honorowym miejscem był parapet – góra na trzech chłopaków – wedle starszeństwa. Dyskutowano na wszystkie tematy – w XI klasie w poniedziałki prezentowałem CAŁĄ Top 30 listę (przepisana z angielskich gazet w sobotę w KMPiK-u, koledzy znali tylko Top 20 z Radia Luxembourg). Starano się petów NIE RZUCAĆ do rynienki, gdzie oddawano urynę, wrzucano je do ubikacji w dwóch kabinach lub do jakiegoś pudełka. Jednak NAJWAŻNIEJSZYM ELEMENTEM klubu były drzwi. Były bujane – jak w salonie – lecz bez tej przerwy powyżej. Każdy, ale każdy – pałący czy też nie, OBOWIĄZKOWO MUSIAŁ PUKAĆ! Wystarczyło jedno puknięcie i już. Brak puknięcia skutkowało chowaniem cennego papieroska za siebie, a mniej wytrzymali nerwowo pstrykali je do pisuaru-rynnenki. Młodzież szkolona była ostro traktowana – nie zapukał, musiał przeproszać, a jeśli się stawiał, był brany pod pachy i wkładany do długiej umywalki w łazienkowej części ubikacji i oblewany wodą. W tej części była kabina dla nauczycieli i ona była sprawdzana (przed fają i przed podłuchem) przez pukanie lub przez okienko